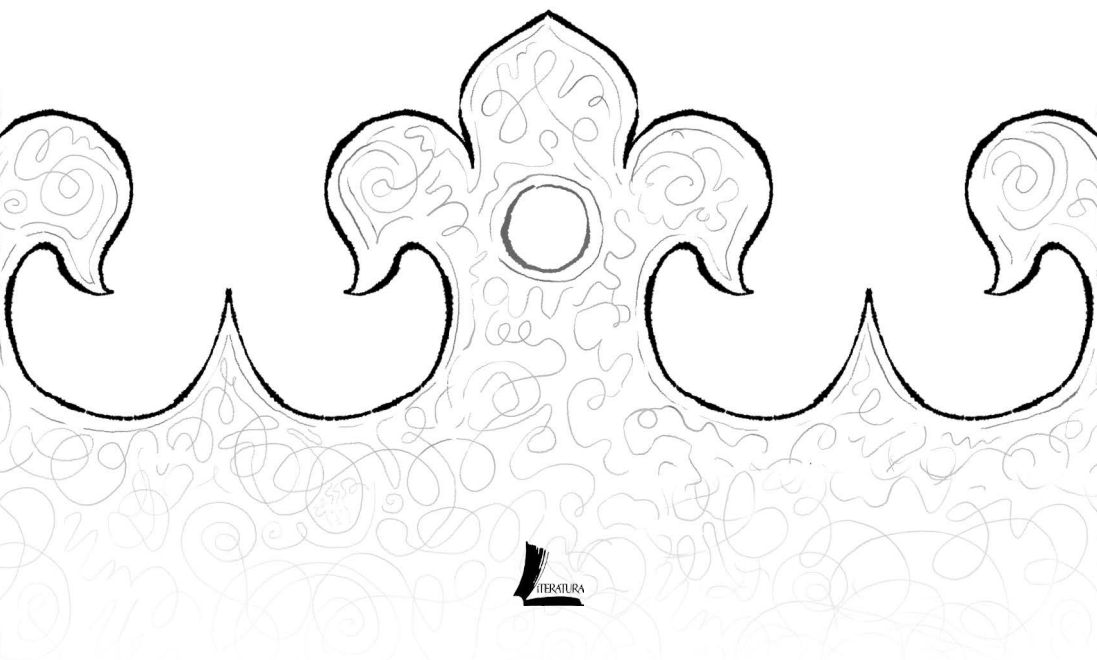


GRAŻYNA BĄKIEWICZ

MÓWCIE MI  
BEZPRYMY



Grażyna Bąkiewicz  
**Mówcie mi Bezprym**

© by Grażyna Bąkiewicz  
© by Wydawnictwo Literatura

*Okladka i ilustracje:* Mikołaj Kamler

*Konsultacja merytoryczna:*  
prof. nadzw. dr hab. Przemysław Waingertner

*Redakcja i korekta:* Lidia Kowalczyk,  
Joanna Pijewska, Aleksandra Różanek

**Wydanie I**

**ISBN 978-83-7672-430-0**

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2016  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630-23-81  
faks (42) 632-30-24  
www.wyd-literatura.com.pl

Opowieść inspirowana historią.  
Bohaterowie i wydarzenia nawiązują  
do faktów historycznych.



# P O S Ł A N I E C



**J**est jesień 999 roku. Słońce tkwi na czubku sosny. Przyczepiło się i ani drgnie. Nad wieżą leniwie krąży jastrząb. Wypatruje ofiary, a gdy ją dostrzeżga, spada w dół jak kamień.

Stoję na wieży i gapię się na rozległą polanę, ciągnącą się po horyzont. Widok mam otwarty, bo puszcza wokół grodu została już dawno wycięta. Z oddali dochodzi łoskot walących się drzew. Kmiecie karczują dalszy kawałek lasu. Jutro wydrą z ziemi korzenie, zasypią wykroty, wyrównają grunt. Wkrótce zaorzą i posieją ziarno. Zyskają kolejny skrawek ziemi cennej jak złoto. Polana gnieźnińska rozrasta się z dnia na dzień. Jeszcze trochę, a z wieży nie dojrzy się puszczy, tylko same pola i pola.

Wychylam się i patrzę na to, co się dzieje na dole. Widzę kucharzy doglądających pieców z chlebem, psy biegające w psiarni i plac ćwiczeń, na którym drużynnicy ojca szyją z łuków do słomianych chochołów i ciskają włóczniami do

poharatanych pni. Wojowie nieustannie doskonala się w sztuce wojennej, a zaczynają tę naukę jako dzieci, co widać bliżej murów, gdzie drewnianymi mieczami tłuką się chłopcy. W większości to młodszy synowie wielmożów, dorastający na gnieźnieńskim dworze. Kiedyś zostaną wojami księcia i na zwycięskich potyczkach zdobywać będą korzyści i dostojęstwa. Władzwoj, ich opiekun, pokazuje, jak ciąć mieczem, by rozplatać wroga na pół, a oni po wielokroć powtarzają ten cios. Z zawziętymi minami i potem lejącym się po twarzach wyglądają naprawdę groźnie. Zwykle i ja tak wyglądam, gdy ćwiczę z nimi, ale teraz jestem tutaj, by ochłonać po kłótni z Mieszkiem.

Do tej pory twarz mi płonie.

Mój młodszy brat nazwał mnie Bezprymem.

Powinienem go za tę obelgę sprać na kwaśne jabłko, ale wiem, że nie warto reagować złością na słowa wypowiedane przez dziecko. Moja nerwowa reakcja dałaby mu pewnośc, że trafił w słaby punkt, a wtedy już by nie odpuścił i powtarzał pogardliwe słowo w nieskończoność. A wiadomo, że nic tak nie przykleja się do człowieka, jak przezwisko.

Bezprym to ktoś bez prymu, bez pierwszeństwa.

A przecież jestem pierworodnym synem księcia Bolesława. Mam czternaście lat i jestem o całe cztery lata starszy od Mieszka Lamberta. To we mnie ojciec widzi swego następcę i chociaż wiem, że żadne głupie słowo tego nie zmieni, dotąd drzę z gniewu.

Wątpię, by Mieszko wymyślił je sam. Obawiam się, że jedynie powtórzył coś, co usłyszał, by sprawdzić, czy mnie tym rozgniewa.

Owszem, rozgniewał.

Widziałem sztywniejące twarze pacholków, u których szukał aprobaty. Opuszczali głowy, dając mi do zrozumienia, że nie mają z tym nic wspólnego, ale odniosłem wrażenie, że nie pierwszy raz słyszą to określenie.

Do licha! Czyżby za plecami krążyły jakieś słuchy o zagrożeniu mojego pierwszeństwa? Jeśli tak, będę musiał sprawdzić, skąd się biorą. Chociaż i bez sprawdzania wiem, że to księżna Emnilda jest ich źródłem.

– Dureń! – prychnąłem pogardliwie i był to jedyny komentarz na słowa Mieszka.

Udało mi się utrzymać nerwy na wodzy, choć złość aż we mnie buzowała, a szczęki bolały od zaciskania. Jarocho byłaby ze mnie dumna. Mówi, że gniew należy powstrzymać i zachować na później.

Łatwo jej mówić.

Dlatego jestem na wieży, bo tutaj supły w brzuchu rozluźniają się i przestaje szumieć w głowie.

Znowu upada drzewo, aż ziemia drży.

W oddali dostrzegam jeźdźca zmierzającego traktem w stronę grodu. W rozedrganym od upału powietrzu wygląda, jakby płynął. Po chwili znika za wzgórzem, ale po księżęcym proporcju, który udaje mi się dostrzec, domyślam się, że to wysłannik z wieścią do ojca. Coś gdzieś się wydarzyło i wkrótce dotrze do nas informacja o tym.

Ojciec kocha informacje. Wie, co dzieje się w każdym grodzie, w każdym zakątku kraju, w głowie każdego wielmoży, którego osadził na urzędzie. Wie, jak poszły żniwa i jakich spo-

dziewać się podatków. Zna wszystkie szlaki. Jest świadom tego, co przewożą przemierzający je kupcy, dokąd pojedą i jaki będą mieli z tego zysk. Zbiera wieści o wszystkim, co dzieje się na dworach niemieckim, kijowskim i praskim. Wie, co u Wioletów i na Węgrzech, co w Jomsborgu i u Duńczyków, co w Bawarii i u Sasów. Nawet co w Rzymie. Ma ludzi na dworach, którzy zbierają takie informacje i przekazują je przez posłańców. Płaci za nie, ale dzięki wiedzy, jaką posiada, mało co go zaskakuje.

Czasami wieści są istotne, czasami nie, ale ojciec nie gardzi żadną. Gromadzi je, jakby były grudkami złota. „Informacja daje władzę – mówi. – Im więcej wiesz, tym jesteś silniejszy. Nawet najdrobniejsze mogą okazać się kluczem do zrozumienia ważnych spraw. Drobiazgi ustawione we właściwym szyku sprawiają, że chaos układa się w sensowną całość. A wiedząc, co może się stać, będziesz miał czas na podjęcie najwłaściwszej decyzji, od której zależeć może twoje życie albo los państwa”.

Biorę sobie do serca jego nauki i staram się wiedzieć jak najwięcej.

Skradające się kroki są tak niezdarne, że słyszę je już w połowie wysokości wieży. Pozwalam, by stanął za moimi plecami, i dopiero wtedy mówię z drwiną:

– Musisz mnie bardzo lubić, skoro nie odstępujesz na krok.

Kątem oka patrzę na rozczarowaną minę pucołowatego blondaska, któremu wydawało się, że potrafi mnie zaskoczyć. Naiwniak.

– Nie lubię cię, bo śmierdzisz – krzywi się z odrazą mój młodszy brat.



W obelgach jest niezły, to muszę mu przyznać.

Księżna Emnilda każe zwracać się do niego Mieszko Lambert, a ja jestem jedynym, który tego nie robi. Używam jednego z imion, naprzemiennie, w zależności od humoru. W zasadzie powinienem mówić na niego „Misiek”, bo jest leniwy i ociężały jak stary niedźwiedź. Nawet po schodach nie potrafi wejść bezszelestnie. Chociaż podziwiam go, że w ogóle chciało mu się wleźć. Nie sądzę jednak, by zrobił to w dobrej wierze. Od jakiegoś czasu łązi za mną krok w krok i prowokuje do kłótni. Z każdym dniem robi się coraz bardziej natarczywy.

– To po co za mną łązisz, skoro ci śmierdzą? – pytam z ciekawością.

– Obserwuję cię – mówi przeciągłym głosem, który ma mnie przestraszyć.

– Po co? – ponawiam pytanie.

– Żebyś się mnie bał.

Ha!

Mieszko jest zbyt głupi, by znać granicę, której nie powinien przekraczać. Nabrał przekonania, że cokolwiek zrobi, ujdzie mu bezkarnie. To wina księżnej, która wbija mu do głowy, że jako syn władcy jest ponad innymi ludźmi. Tyle że on rozumie to po swojemu i gardzi wszystkimi. Dziwne, że ojciec tego nie widzi. A może widzi, tylko nie reaguje z tej prostej przyczyny, że młodszy syn i tak nie ma większego znaczenia.

– Bezprym – cedzi Lambert, patrząc mi prosto w oczy.

Gdyby nie strażnicy, którzy obserwują nas czujnie, kopnąłbym go w zadek i sprawa byłaby zakończona, przynajmniej na jakiś czas. Ale nie mogę zrobić tego przy świadkach. Strażnicy obrzucają nas spojrzzeniami, gotowi zapobiec ewentualnej

bójce. Ale póki to tylko zwykła braterska zwada, nie wtrącają się. Zamiast przegnać go kopniakiem, mówię więc:

– Lepiej idź stąd, Lambercie, i zajmij się swoimi lalkami. Ja też wiem, czym najbardziej wkurzyć brata.

Przez jego dziecienną twarz przebiega skurcz dowodzący, że ugodziłem go celnie.

Lalki to tajemnica, którą wszyscy znają, ale udają, że niktogo to nie śmieszy, choć śmieszy – i to bardzo. Rzecz w tym, że księżna Emnilda, matka Mieszka, kupiła u arabskich kupców całą armię wojów, która mieści się na dłoni. Są z kości słoniowej, pięknie rzeźbieni, ze wszystkimi szczegółami stroju i uzbrojenia, a koniki, których dosiadają, wyglądają jak żywe. Mieszko uwielbia się nimi bawić, choć za skarby świata się do tego nie przyzna. Twierdzi, że przy ich pomocy uczy się taktyki wojennej. Tak jakby można się czegoś nauczyć, przewracając lalki, choćby były ze szczerzego złota.

– Nic ci do moich wojów! – wrzeszczy, aż łzy pokazują mu się w oczach.

Ma delikatną twarz o bladym odcieniu, jaką mają dzieci, które często chorują i spędzają czas z dala od słońca.

Robi mi się go trochę żal.

Nie jesteśmy do siebie podobni. I nie chodzi tylko o to, że ja jestem okazem zdrowia, podczas gdy on chorowitkiem. Różnimy się pod każdym względem, a ojciec widzi tę odmienność i inaczej kieruje naszym kształceniem. Mnie uczy na woja, Mieszka na mnicha. Mnie od dawna zabiera w objazdy po kraju i wprowadza w tajniki zarządzania grodami. Dla niego sprowadza zakonników, by uczyli go łaciny, greki, niemieckiego. Ja od siódmego roku życia mieszkam w męskiej

części dworu, on ciągle jest w babińcu, w pobliżu matki. On zna na pamięć mnóstwo modlitw, a ja, jeśli już muszę wysłuchiwać opowieści, najbardziej lubię te o wojnach i bohaterach.

To we mnie ojciec widzi swojego dziedzica. Ale Lambert ma matkę, która dba o jego interesy.

Mieszko nie tylko nie umie ukryć złości, ale i nie potrafi nad nią zapanować. Nie patrząc na obecność strażników, rzuca się na mnie. Pchnięcie nie jest zbyt silne, ale wystarczająco zaskakujące, bym na moment stracił równowagę. Nie miałoby to znaczenia, gdybym stał gdziekolwiek indziej. Ale stoję na wieży, gdzie jedynym zabezpieczeniem jest niskie obramowanie. Dosłownie w ostatnim ułamku chwili znajduję oparcie dla ramienia, a palce wczepiają się w jakąś nierówność w drewnie i cudem utrzymuję równowagę. Gdyby nie to, leciałbym w tym momencie na łeb na szyję. I tak kołyszę się niebezpiecznie, a belka, o którą się opieram, pęka i leci w dół. Uderzenie o bruk na dziedzińcu słyszę dobrych kilka chwil później.

To mogłem być ja.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pytam.

– Niechący – mówi, choć jego mina świadczy o zadowoleniu z siebie. – Potknąłem się.

Akurat. Jeszcze sobie szydzi ze mnie. Podstępny szczeniak!

– No dobra, sam się prosiłeś – zwalam się na niego całym ciężarem.

Po chwili jesteśmy jednym tarzającym się kłębowiskiem nóg, rąk, wypiętych tyłków, gołych brzuchów. Sczepiamy się ramionami i grzmocimy po plecach pięściami. Nie żałuję sobie. Lambert broni się zajadłe, a tłukąc na osłep, trafia raz

i drugi. Walkę toczymy w milczeniu, żeby jak najbardziej opóźnić reakcję strażników.

Muszę przyznać, że zaskakuje mnie jego zajadłość.

Nasze zapasy przerywa krzyk:

– Spokój, bo użyję bata!

To Odrzywół, dowódca straży.

Odskakujemy od siebie pospiesznie, bo Odrzywół znany jest z tego, że nigdy nie żartuje. Jemu wszystko jedno, czy porządek zaprowadza wśród wojów, czy książęcych dzieci.

– Nic się nie dzieje, już zgoda między nami! – woła Mieszko.

Odrzywół spogląda na nas z ukosa. To jedna z wielu naszych bójek w ostatnim czasie i ma prawo nie wierzyć w nasze pojednanie.

– Odstąpcie od siebie na dwa kroki – mówi.

Odstępujemy i zgodnie opieramy się o drewnianą zaporę, przez którą o mało co przed chwilą nie wyfrunąłem. Udajemy, że patrzymy na rozpościerający się w dole krajobraz. Odrzywół przygląda się nam przez chwilę i daje spokój.

– Skoro taki z ciebie chojrak, to ciekawe, czy wleziesz na szczyt wieży – szepczę Mieszkowi do ucha, bo chcę, by przyznał się do słabości.

Zaciska wargi, więc pozwalam sobie na lekceważący uśmiech.

– Tchórz! – syczę przez zęby.

– A ty wejdiesz? – pyta.

Wzruszam ramionami, że co to dla mnie. Chwilę później chwytam się rękoma za drewniany słupek, odbijam nogami od ziemi, podciągam się i już jestem na górze.

Wejść to nic takiego, chodzi o umiejętność utrzymania równowagi na wąskim skrawku belki. Prostuję się i rozglądam, zachłystując się widokiem. Lubię to podniecenie, gdy stoję zawieszony między niebem a ziemią. Za pierwszym razem, gdy tu wlałem, miałem porządnego stracha. Za drugim też. Właściwie za każdym razem boję się, że wykonam niewłaściwy ruch i runę w dół. Dlatego zawsze robię to bez świadków. Dzisiaj to wyjątek, bo chcę zaimponować młodszemu bratu.

Kręci mi się w głowie, ale nie mogę okazać lęku. Nie teraz, gdy Lambert patrzy na mnie. Chcę, by wiedział, że zawsze i we wszystkim będę od niego lepszy.

– Ale widok! – wzdycham głośno.

Chwilę potem on decyduje się na coś, od czego cierpnie mi skóra. Rusza za mną.

Głupi. Nie powinien tego robić. Wątpię, by zdawał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa. Powstrzymuję się jednak przed wydobywającym się z mojego gardła protestem. Wolę się nie odzywać, by go nie przestraszyć. Jeden nieostrożny ruch i spadnie.

Nie spadł.

Po chwili, drżący, staje obok mnie.

Odkąd pamiętam, za wszelką cenę chciał mi dorównać. Ale o ile kiedyś było to śmieszne, z czasem stało się irytujące. A teraz obydwaj ryzykujemy życiem. Wystarczy, że jeden się zachwieje, i spadniemy obaj. Aż robi mi się zimno.

W oddali upada kolejne drzewo. Słyszę stęknienie ziemi.

Mija dłuższa chwila, nim decyduję się zerknąć na Mieszka. Jest o głowę ode mnie niższy, więc najpierw widzę jego

włosy, potem pot spływający po czole. I zamknięte oczy. Nagle zdaję sobie sprawę, że ten głupek jest nieprzytomny ze strachu. Cokolwiek zamierzał, już tego nie zrobi, bo władzę nad nim przejął strach.

Lambert boi się wysokości.

– Dasz radę zejść? – pytam, ale jest zbyt przerażony, by mówić.

Czyli nie da rady.

– Złaźcie stamtąd! – krzyczy Odrzywół.

On też się boi, bo jak któryś z nas zleci, to spadnie też i jego głowa.

– Asekuruj brata – mówi, gdy dostrzeża, w jakim stanie jest Mieszko.

Próbuje wejść, ale nie ma tu miejsca dla jeszcze jednego. Tu w ogóle nie ma miejsca na jakiegokolwiek działanie. Jedyne, co mogę zrobić, to zepchnąć Lamberta. Daję znak Odrzywołowi i popycham brata.

Patrzę, jak leci w dół. Prosto w ręce strażników.

– Dobra, mamy go! – woła z ulgą Odrzywół. – Złaź i ty, księżę, bo nogi ci z tyłka powyrywam!

W tym samym momencie rozlega się dźwięk rogu oznajmiający, że ktoś przybywa do grodu. To strażnicy wreszcie dostrzegli posłańca. Mam satysfakcję, że wypatrzyłem go pierwszy.

Gdy zeskakuję, potężna dłoń chwyta mnie za kark. Odrzywół wykręca mi ucho, aż do oczu napływają łzy. Drugą ręką robi to samo z uchem Mieszka. Obaj majtamy nogami w powietrzu. Mieszko wrzeszczy jak zarzynany prosiak. Wije się, próbując uwolnić, ale strażnik trzyma mocno i sprowadza do sali, gdzie urzęduje ojciec.

Przed salą obrad kłębi się tłum.

Tu zwykle odbywają się narady w sprawach państwa. Na ławach stojących wzdłuż ścian zasiadają wtedy wielmoże i rada, co zrobić, żeby w kraju było dobrze. W głębi, na podwyższeniu, stoi dębowe krzesło z rzeźbionym oparciem i podłokietnikami wyłożonymi skórą. To miejsce naszego ojca, księcia Bolesława.

Gdy byliśmy z Mieszkiem mniejsi, próbowaliśmy dla zabawy siadać razem na tronie, a potem spychaliśmy się. Ja z reguły wygrywałem, on latał ze skargą do księżnej i ojciec w końcu zabronił nam tych zabaw.

– Tron może nie wytrzymać waszych wygłupów – powiedział.

To wtedy zrozumiałem, że krzesło książęce przeznaczone jest tylko dla jednego z nas.

Ojciec daje znak dłonią, żebyśmy usiedli i poczekali na swoją kolej, bo jest zajęty.

Raz w miesiącu poddani przychodzą ze skargami, by rozstrząsał ich spory. Dzisiaj właśnie jest taki dzień.

Czekając, mamy okazję wysłuchać werdyktów wydawanych przez księcia, naszego ojca. Jego głos, choć niegłośny, wibruje w pomieszczeniu. Wszyscy pochylają nisko głowy, nie tylko z szacunku przed majestatem, ale ze strachu, by nie ściągnąć na siebie jego gniewu.

Chcę być kiedyś taki jak on.

Mieszko przysiada na skraju ławy i kuli się, chowając głowę w ramionach, nie wiadomo – z zimna, ze strachu, czy może po to, by przybrać postać kogoś mniejszego, niż jest w istocie.

Upodobał sobie rolę dziecka. Lubi być kimś, nad kim trzeba się litować i kogo należy otaczać stałą pieczęcią. Myślę, że wynika to ze sprytu i lenistwa.

Podczas rozstrzygnięcia sporów między wieśniakami ziewa, bo sprawy zwykłych ludzi go nie interesują. Zajęty jest własnymi myślami.

Mnie sprawy ludzi ciekawią. Przestaję myśleć o tym, co się przed chwilą wydarzyło, a wsłuchuję się w racje dwóch braci kłócących się o schedę po zmarłym ojcu. Ojciec zostawił im pole, łąkę i las, a oni nie potrafią rozdzielić tego między siebie. Każdy podział sprawia, że jeden czuje się pokrzywdzony.

„Postępuj wobec innych tak, jak sam byś chciał, żeby inni postępowali wobec ciebie” – uczy ojciec. Stosuję się do tej rady i wydaję w głowie wyrok. Moment później słyszę głos ojca.

– Dowiedzmy się, jak moi synowie postąpiłoby w takiej sytuacji.

Mieszko nie bardzo wie, co powiedzieć, bo nie słuchał. Żeby zaoszczędzić mu upokorzenia, podnoszę się i zabieram głos.

– Jeden powinien zatrzymać ojcowiznę w całości, drugi dostać odprawę w postaci jednorazowej zapłaty i poszukać miejsca do życia gdzie indziej.

Ojciec kiwa głową z aprobatą.

– Dobrze. Taki wyrok zatwierdzam. Który z braci zostanie, który odchodzi, ustalicie między sobą. Wysokość odprawy wyliczy wam skarbnik książęcy.

Kmiecie kłaniają się i wycofują. Mogą przyjąć wyrok albo kłócić się dalej. Trudno powiedzieć, co zrobią, bo spoglądają na siebie z nienawiścią. A mnie nachodzi refleksja, czy ja i Lambert też kiedyś będziemy tacy?



– Teraz wy – zarządza ojciec i każe nam stanąć na miejscu, gdzie przed chwilą stali wieśniacy.

Twarz Mieszka wykrzywia grymas upokorzenia. Ja nie mam z tym problemu. Mnie kmiecie nie śmierzdzą tak jak mojemu delikatnemu bratu.

– Wyjaśnijcie przyczynę tego, co stało się na wieży – nakazuje ojciec.

Gdybym był mądrzejszy, powiedziałbym o obelżywym słowie rzuconym przez brata, o bezustannym szpiegowaniu i prowokowaniu kłótni, ale wymagałoby to dłuższego wyjaśniania. Wiem, że ojca zasmucają nasze kłótnie. W dodatku jestem świadom obecności ludzi, którzy przyszli z daleka z prawdziwymi problemami, i żal mi czasu, który ojciec mógłby poświęcić komu innemu.

– Nic takiego – mówię. – Zwykła głupota. Jeden drugiemu chciał zaimponować. Prosimy o wyznaczenie kary.

Jestem pewien, że Mieszko potwierdzi moje słowa i sprawa na tym się zakończy. Ale brat zaskakuje mnie po raz kolejny.

– To on mnie namówił, żebym wszedł na wieżyczkę, a potem zepchnął. Chciał mnie zabić – głos Mieszka, początkowo cichy, z każdym słowem nabiera siły i w końcu przechodzi w krzyk.

Słucham z niedowierzaniem, jak bez zmużenia oka zrzuca na mnie winę. Zamiast zaprzeczać, stoję jak słup, bo w głowie mam pustkę. Jeśli kołacze się w niej jakaś myśl, to tylko taka, że Lambert jest gnidą pozbawioną skrupułów.

Mieszko nie przewidział jednego – że ojciec wezwie świadka. Odrzywół staje między nami i mówi, jak było naprawdę. Zdaje relację ze skrajnej nieodpowiedzialności każ-

dego z nas i pomocy, jakiej udzieliłem bratu, gdy ten utracił możliwość podejmowania decyzji.

Mieszko sapie ze złości.

Ojciec drapie się po głowie. Jest gwałtownikiem, więc spodziewam się wybuchu gniewu, ale nic takiego nie następuje. Tylko macha ręką, bagatelizując zdarzenie.

– Chłopskie głupoty – burczy.

Nie ma racji. A to, co się stało, nie jest tak niewinne, jak sądzi.

W chwili, gdy stałem obok brata, oświeciło mnie. Zrozumiałem przyczynę jego niechęci do mnie. Najwyraźniej pojął albo ktoś mu podsunął myśl, że jako młodszy syn księcia ma nikłą szansę na dziedziczenie i jeśli chce kiedyś zasiąść na ojcowym tronie, powinien myśleć o mnie jak o rywalu, którego trzeba się pozbyć.

I właśnie to chciał zrobić.

Ale przynajmniej karę dostaliśmy jednakową, dodatkowe godziny ćwiczeń. Mieszkowi przypadł w udziale plac treningowy, a mnie lekcje u biskupa Ungera. Obaj wolelibyśmy, żeby było odwrotnie, ale ojciec dobrze wie, co któremu z nas sprawi większą przykrość.

– Tak, ojciec – mówi Mieszko. – Przyjmuję karę z pokorą.

I natychmiast biegnie na plac, by wywijać drewnianym mieczykiem. Mało co butów nie gubi z pośpiechu, pokazując, jaki to z niego posłuszny synuś. Mam nadzieję, że chłopaki przetrzepią mu skórę, chociaż wątpię, by odważyli się zrobić to pod okiem Emnildy. A założę się, że księżna zaraz pojawi się na placu, by towarzyszyć Lambertowi w odbywaniu kary.

Ja też skłaniam głowę przed ojcem, przyjmując karę, chociaż przyznam, że niespieszno mi do biskupich nauk. Wolał-

bym czyścić stajnie, bo z tego byłby przynajmniej jakiś pożytek. Z siedzenia nad księgami nie będzie żadnego. Przez całe popołudnie Unger będzie przewiercał mnie niezadowolonym wzrokiem i bił po palcach za źle postawione litery. Aż zimno skrada mi się po kręgosłupie na myśl o tym. Jednak nie mam wyjścia i muszę odcierpieć swoje.

Skoro jednak nie został wyznaczony termin kary, postanawiam zwlekać, jak długo się da. Sprzyja temu tumult, jaki słychać przy bramie.

Jeździec, którego widziałem z wieży, zeskakuje z konia i, nie trapiąc się o niego, rusza biegiem przez dziedziniec. Biegając, woła:

– Z drogi! Prowadzić do księcia!

Widzę strużki potu spływające mu po szyi. To, z czym przybył, musi być ważne, skoro tak się spieszy.

Odsuwam się w stronę, którą i on wybrał. Robię to niby niechcący, chociaż pragnę, by wpadł na mnie. Potrzebuję kłopotów, by skierować swoje myśli na coś innego niż kara, która mi się nie podoba.

– Z drogi! – wrzeszczy, a gdy nie ustępuję, łapie mnie za ramię i odpycha na bok.

Mam na sobie stare ubranie, bo do codziennych włóczęg po okolicy niepotrzebne mi lepsze. Z tej pewnie przyczyny bierze mnie za pacholka.

– Jestem księciem – mówię półgłosem.

Puszcza mnie momentalnie i skłaniając się, mówi:

– Wybacz, panie, i, jeśli łaska, prowadź do księcia Bolesława.

Wzrokiem zahaczam o sakwę przytroczoną do pasa i jeśli wcześniej miałem zamiar jeszcze trochę go podrażnić, to

rezygnuję w jednej chwili. W podobnej sakwie dwa lata temu posłaniec taki jak on przywiózł ludzką głowę.

Byłem przy tym, jak ją wyjmowano. Miała otwarte oczy i usta rozchylone w uśmiechu. Samo wspomnienie wystarcza, by dreszcz grozy przebiegł mi po plecach. Żaden umarły nie powinien się tak uśmiechać. Widok był tym bardziej przerażający, że kilka dni wcześniej widziałem tę samą głowę tkwiącą na szyi żywego człowieka, biskupa Wojciecha z Czech. Biskup gościł na naszym dworze w drodze do Prus, gdzie planował szerzyć chrześcijaństwo. Ojciec szczerze mu to odradzał, bo Prusowie, nasi północni sąsiedzi, wcale nie pragnęli nowej religii. Wojciech jednak się uparł, twierdząc, że skoro ma krzewić wiarę, to będzie to robił wśród tych, którzy są najbardziej temu niechętni. No i zginął, co było do przewidzenia. Prusowie przebili mu plecy włócznią, mieczem ścięli głowę, spakowali ją do worka i kazali posłańcowi wieźć do Gniezna. Ku przestrodze, gdyby komuś jeszcze przyszło do głowy szerzyć wśród nich niechcianą religię.

– Nie gap się, panie, tylko prowadź – słyszę głos tuż przy uchu.

Wzdrygam się, ale na szczęście to nie gadająca głowa, tylko posłaniec, któremu się spieszy.

Unoszę rękę w przeproszającym geście, a potem ruszam przodem, bo wiem, że niektóre wieści wymagają pośpiechu. Być może ta, z którą przybył, należy do tego gatunku.

Posłaniec depcze mi po piętach, a ledwo dostrzega ojca, odsuwa mnie niecierpliwie i zaczyna przedzierać się przez tłum ludzi oczekujących na sąd. Rozpycha się łokciami, nie

żałując kuksańców. Gdy dociera do tronu, skłania się nisko, klęka i zaczyna szeptać.

– Kiedy będą? – słyszę podniesiony głos ojca.

– Już wyruszyli z Rzymu. Dotarcie zajmie im trzy miesiące.

– Dlaczego dowiaduję się o tym tak późno?

– Decyzja trzymana była w tajemnicy. Wyruszyłem, jak tylko się dowiedziałem. Jestem w drodze bez odpoczynku, tyle co na zmianę koni.

– Koniec sądu na dzisiaj – oznajmia ojciec i nakazuje wszystkim opuścić salę.

Trzymam się blisko w nadziei, że może pozwoli mi zostać. Ale nie. Muszę tak jak inni oddalić się, a pacholkiwie przed ciekawskimi zamykają drzwi.

Wiadomość musi być niezwykła.

Robię w tył zwrot i wycofuję się bez słowa. Mam swoje sposoby, by dowiedzieć się, cóż to za nowina, która tak wzburzyła ojca. Wkładam palce między zęby i gwizdzę. Odpowiada mi przeciągły świst. Spoglądam w tamtą stronę i widzę znajomą postać. To Milek.

Milek jest ode mnie zaledwie o rok młodszy, ale wygląda na siedem lat, taki jest mały i chudy. Dwa lata temu wykupiłem go z rąk handlarzy niewolników. Umierał z głodu i marna była szansa, że przeżyje, ale dałem za niego posrebrzaną koliczugę. Dostałem za to reprimendę od ojca, bo, jak twierdził, za tę cenę mogłem dostać tuzin takich zdechłaków. Ale nawet ojciec czasami się myli. Milek okazał siłę woli i przeżył. W podziękę za to, że go uratowałem, nie odstępuję mnie na krok. Jest nie tyle sługą, co przyjacielem. Rozumiemy się bez

słów. Wystarczy spojrzenie, gest, ułożenie palców, a już wie, co mam na myśli.

Teraz też dotyka palcem czoła na znak, że zrozumiał polecenie, które mu przekazałem. Wkrótce będę wiedział, z czym przybył posłaniec.

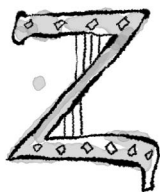
No cóż, jestem nieodrodnym synem swojego ojca i lubię mieć wszystko pod kontrolą. I mam na to swoje sposoby.

Otóż nad salą obrad, między stropem a podłogą wyższej kondygnacji, są puste przestrzenie, gdzie doskonale słychać, co dzieje się poniżej. Odkryłem je, gdy byłem niewiele większy od kota i tak jak kot wędrowałem, gdzie chciałem. To wtedy znalazłem tamto miejsce. Potrafiłem siedzieć tam godzinami i słuchać, o czym radzą wielmoże wraz z ojcem. Potem urosłem i niezbędny stał mi się pomocnik, który byłby moimi uszami. Milek okazał się idealny, bo choć przeżył i wydobrzył, to pozostał mikrusem. Potrafi wcisnąć się w dziurę, a podsłuchane rozmowy przekazuje mi z najdrobniejszymi szczegółami.

To, z czym przybył posłaniec, wkrótce nie będzie dla mnie tajemnicą.

# M A D Z I A R K A

---



zamkowej kuźni dobiegają dźwięki kucia. Zatrzymuję się, by popatrzeć, jak kowal Jamroży rzuca rozpalony kawał żelaza na kowadło i wykuwa długi pręt. Potem chłodzi go, znów rozgrzewa, skręca z drugim prętem, kuje, znów chłodzi i znów kuje. Od czasu do czasu nacina rozgrzane żelazo i wklepuje srebrne wióry. Na klindze wiją się srebrne węże. Na pracę Jamrożego mógłbym patrzeć godzinami, podobnie jak słuchać magicznych zaklęć, które mamrocze podczas pracy. Mówi, że to śpiew, ale ja swoje wiem. Słyszałem nieraz, jak Jarocha śpiewa to samo, gdy chce czegoś od bożków, w które ciągle potajemnie wierzy.

– Dla kogo ten miecz? – pytam, gdy kowal robi chwilę przerwy.

– Dla dzielnego wojownika.

Mam nadzieję, że kiedyś takim się stanę. Ćwiczę po kilka godzin dziennie, by to przyspieszyć.

Podnoszę jeden z gotowych mieczy i robię zamach.